

FRANCISZEK MIRANDOLA

---

**Chleb i woda**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

FRANCISZEK MIRANDOLA

TROPY

## Chleb i woda

Stali nad brzegiem i klęli.

— Znowu zabiera, znowu jucha zabiera. Ot, tyle zagrodzone było łośkiego<sup>1</sup> roku na wiosnę. A teraz o jakie trzy sążnie podeszło spodem, że ani przystąpić... A tu... o i tu zrysowana ziemia. Wciążności!! Żniwa nadchodzą, kłos twarde, żółci się już na dobre słoma... a ty teraz broń się przed złodziejem... ratuj...

Klęli i bili w brzeg grube, wierzbowe kłocce.

Wielkie wybrane doły na pół zalane wodą czerniły się rzędem. Długie, śmigłe wikliny zwaliły się ścianą pochyłą... czekały schnąc i dumając o swym losie.

Bracia wielkimi babami drewnianymi walili po głowicach kłoców wierzbowych. Każdy uderzył raz i stęknął... A kłoc, obsunął się trochę wgląd i chlupnął wodą.

Co chwila przerywali pracę... ocierali pot z czoła rękawami koszuli... to jednym, to drugim i klęli.

Wielka kiść żółkniejącego<sup>2</sup> żyta zwisała smutnie z wysokiej szkarpy brzegu. Kłosa wały się w błocie rozrobionym stopami pracujących. Górą widniał dach chaty i kawał białej ściany...

— Dość tego! — powiedział starszy i cisnął babę o ziem<sup>3</sup>.

Młodszy nie rzekł nic, usiadł na skrawku ziemi pokrytym trawą i zwiesił głowę.

— Chodź jeść! — rzekł starszy.

— Idź sam! — odrzekł siedzący. — Zmordowałem się... przyjdę.

Został sam.

Wpatrzył się w nurt wartko płynący.

Na drugim brzegu połogo<sup>4</sup> się ścielącym i zasutym<sup>5</sup> żwirem i namulem, stały chaty.

Stały, a raczej siedziały na ziemi szeroko rozkraczone.

Ściany się dołem rozlazły, rozszerzyły, jakby puściły korzenie w grunt.

Przybudówkami, chlewkami, niby rozstawionymi dłońmi objąć się starały największą przestrzeń.

Zdawało się, iż mówią ziemi:

— Ha! Mojaś jest... nie puszczę, nie puszczę... mojaś jest!

A woda płynęła i zdawała się mówić do zadumanego chłopca:

— Ach! Nikt mnie nie rozumie... nikt mnie nie rozumie.

Zdumiał się.

I nagle zebrawszy śliny... chciał pluć we wodę. Ale na czas wspomniał, że to niedobrze...

— A widzisz! — rzekła mu woda. — A widzisz! Nie pluj we wodę, nie bluźnij wodzie... nie bluźnij wodzie... szanuj wodę... szanuj... a lepiej jeszcze staraj się zrozumieć, kto ja jestem... ja WODA.

— Ty jesteś złodziej! — powiedział.

I zdumiał się sam dźwiękiem swego głosu i tym, że mówi do wody jak do żywej istoty.

<sup>1</sup>łośki (daw., gw.) — ubiegłoroczny; o roku: zeszyły. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>żółkniejący — dziś popr.: żółknący. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>o ziem (daw., gw.) — dziś: o ziemię. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>połogi — rozpościerający się szeroko, rozległy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>zasuty — pokryty. [przypis edytorski]

— Nieprawda... nieprawda... mówisz jak cię nauczyła ta stara chałupa rozkraczona... jak cię nauczyła wieś... jak cię nauczył rozum ludzki... To wszystko nieprawda!

Tak mówiła woda z szumem.

— Mówię, jak naucza rozum... ba, a jakże mam mówić?

— A wiesz, kto tego rozumu nauczył ludzi i tę chatę, i wieś całą... Wiesz, kto nauczył ich tego rozumu?

— Nie... nie wiem... — odparł. I już się nie dziwił, że mówi do wody jak do żywej istoty.

— Nauczył ich tego mój brat, CHLEB.

— Twój brat?

— Mój brat, który żyć beze mnie nie może... jak i ja nie mogę... z tęsknoty, kiedy go nie ma koło mnie.

Rozległo się wołanie od strony chaty:

— Jasieeek! Jaaasiek!

— Słyszysz! — powiedziała woda do Jaśka — Mój brat, CHLEB woła cię... idźże, idź...

Zerwał się żwawo. Oprzytomniał. Przetarł dłonią czoło.

— A tom się zdrzemnął... — mruknął i poszedł ku chacie, nie spojrzawszy już na wartki nurt z szumem płynący.

Długo nie było nikogo na brzegu. Panowała cisza południowa. Słońce stało w samym niemal zenicie i piekło, słoma żółkła, szypułki kłosów otwierały się powoli i wyzierały ciekawe główki ziaren. Trawa przygnieciona ciężarem Jaśka powstawała lekko, powoli, a konik polny wystraszony ze swego osiedla w zielonej kępce namyślał się, czy można wrócić. Odarte z kory, biedne kłocze wierzbowe tkwiły w błocie i żaliły się niebu, wznosząc w górę biedne udręczone głowy, zaś skryte w głębi ziemi małe strumyczki posłane przez rzekę, ryły się przez pulchną, gorącą glebę jak krety.

Woda płynęła wartko. Nie mówiła nic. Czasem tylko jakaś fala rzuciła na brzegu przeciwnym rozsiędzonej<sup>6</sup> chacie pogardliwie pod nogi garść namułu.

— Naści masz... naści weź...

— Dobra nasza! dobra nasza!... — śmiała się chałupa i lyskała do słońca oczami okien.

— Naści kamień...

— Dobre i to... panie Kmito... — rechotała.

— Naści drewno zbutwiałe...

— W piecu zetleje całe... ha, ha, ha...

— Naści i zdechłą mysz...

— Przyda się tyż... przyda się tyż...

— I kwiat zerwany gdzieś...

— Tylko nieś... tylko nieś...

A chałupa Jaśkowa wytrzeszczała oczy, zazierała ponad brzeżek, by dojrzeć, czy woda czego nie skradła. Błada i zielona była ze złości. Zdawało się, że zgrzyta zębami i że włosy, że strzecha staje jej dęba na głowie z oburzenia.

Po południu wrócił Jasiek sam jeden do pracy.

Maciek poszedł z koniem holować łódź proboszcza, którą woda wczoraj jeszcze zniosła daleko i osadziła o parę stajni, na prost dworskiego ogrodu.

Stanął na brzegu i spode łba spojrział na wodę.

— Widzisz! — zaczęła od razu, jak do znajomego. — Posłałam Maćka z koniem, by nam nie przeszkadzał. Siadaj!

Nagle ogarnęła go pasja, pasja istoty żywej i pana gruntu i chałupy w dodatku...

— Wciórności... psiakrew jedna!...

Chciał kłąć, ale się splątał, bo nie wiedział, jak kłąć wodę, która gada. Więc napluł tylko w garść, porwał ze ziemi babę dębową, zamachnął się i palnął z całej siły w głowicę nieszczęsnej, umęczonej wierzby, aż jęknęła.

Ale czy zamach był za wielki, czy kłoc uchylił głowy przed ciosem, dość, że baba się ześliznęła i potraciła Jaśka dosyć silnie w nogę...

— A niech to wszyscy diabli!... — jęknął boleśnie, chwytając się za nogę...

<sup>6</sup>rozsiędziona — siedząca szeroko; rozsiadła. [przypis edytorski]

Musiał usiąść, bo go aż zesłabiło<sup>7</sup>.

— A nie mówiłam ci, żebyś se usiadł? — rzekła woda i zaśmiała się.

— Ty nieczysty duchu... ja ci... — wrzasnął ostro.

Nagle włosy mu stanęły dęba ze strachu na głowie.

— Boże ratuj! Toż ja tu pogawędki toczę z jakąś mocą piekielną...

Zerwał się, by uciec, ale nim krok postąpił, woda rzekła:

— Przy chrzcie świętym nalano mnie na twoje czoło!

— Prawda! — przyznał Jasiek.

— Tedy<sup>8</sup> siadaj.

— Ale ja mam robotę. Nie mam teraz czasu słuchać kazania.

— To nie będzie kazanie. A cała ta robota niepotrzebna.

— Jak to? Więc ma wszystko podmulić... ej gadanie...

— Nie podmula temu, kto ma przymierze z wodą. I prawo wolności od chleba uży-ska... ale to trudne...

— Moiściewy kochani! — wmieszała się do rozmowy Jaškowa chałupa... — Mo-iściewy... powiedzcież mi też... Więc ta czarownica... ot tamta na drugim brzegu... ma przymierze z wodą?

— A mam! A mam! — wrzasnęła z drugiego brzegu sąsiadka.

— Moja wodo jedyna, powiedzże nam prawdę... mnie i Jaškowi... — prosiła chałupa Jaškowa.

— Czy powiedzieć? — spytała woda chałupy z przeciwka.

Ale stara jakoś nagle przycichła, zawarła oczy swych okien, przyczerniała na ścianach, zgarbiła się, niby pod ziemię kuląc... Nie odpowiadała wcale.

— Stójcie sobie spokojnie, nie przeszkadzajcie! — nakazała ostro woda chałupom.

Jasiek zobaczył, że obydwu domostwa zmartwiały nagle, i taki jakiś inny mają wygląd niż przedtem. Ot chaty. Ale i woda stała się zwykłą wodą, co płynie nie wiadomo skąd i w jaki kraj. Szemrała, pieniała się na kamiennych progach rzucała fale o brzegi... nie odzywała się głosem zrozumiałym.

Czekał cierpliwie sądząc, że się namyśla.

Siedział i czekał, a słońce szło po niebie nieustannie.

Nareszcie wstał, machnął ręką i podjął leżącą na ziemi dębową babę.

Za chwilę tętniły już uderzenia mocne, wytrwale, uporczywe. Pot mu zalewał oczy... nie zważał... pracował zażarcie.

— A toby też było, gdyby się tak rozniosło<sup>9</sup> po wsi! Rety!

Pośpiewując, pracował do zmierzchu. Zaciągnął trzy nowe kloce. Gdy się zmierzchno i miał iść do domu, schylił się, podjął ciężki kamień i cisnął z rozmachem w rzekę.

— Masz nagrodę za twoje bajdy!

Roześmiał się. Naciągnął kaftan i sięgnął po paczkę z tytoniem do bocznej kieszeni. Skręcił papierosa, zapalił i ruszył przed się.

— A możeś ciekawy... — doleciało go od wody.

Splunął z pasją i poszedł, nie odwracając się już wcale. W domu zastał już brata siedzącego przy stole. Bratowa stawiała przed mężem miskę klusek.

— A dalibyście się ta czego napić matka! — powiedział Maciek do żony. — Zmordowaliśmy się dziś pono<sup>10</sup> obaj! — dodał, spoglądając z zadowoleniem na brata.

Wypili po raz i po drugim wcale niemałe sztankaniki<sup>11</sup> wódki, potem jedli w milczeniu kluski, póki starczyło. Gdy skończyli, zapytał starszy:

— Dużoś zrobił?

— Ta cosiem tam zrobił! — odparł niepewnie, bo mu żal się zrobiło straconego nad wodą czasu.

— A to bestia podmywa... — rzekł Maciek — Ciekawość czemu akuratnie nasze pole.

— Akuratnie psiamać nasze!

<sup>7</sup>zesłabić — dziś raczej: osłabić. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>rozniosło (gw.) — dziś popr.: rozniosło. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>pono (daw., gw.) — chyba, prawdopodobnie, podobno. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>sztankaniki (z ros.) — szklaneczka. [przypis edytorski]

— Andrzejowego, to ani tknie... jakby...  
— Jakby co?  
— Jakby bestia, pijanica miał jakie tajemne przymierze z wodą.  
— Przymierze! — wrzasnął i zerwał się z ławy.  
Maciek spojrział na brata zdumiony wielce.  
— Niewiele popiłeś, ale jakoś ci się sprzeciwiło...

Nie odpowiedział nic, ale wstał i wyszedł przed dom. Księżyc nie było, ale gwiazdy jasno świeciły. Szum zalatywał od rzeki. Jasiak czuł, wiedział dobrze, że teraz trzeba by tam pójść... tam... do niej... bo ona teraz właśnie powiedziała by niejedno...

— Nieciekawym!... — uparł się — Wcalem nieciekawym!  
I poszedł do karczmy.

\*

Pan komisarz łapał ryby. Pan komisarz był na urlopie.  
Urlop, rzecz dobra.  
Oooj dobra!  
„Nic jakoś nie bierze dzisiaj” — myślał, patrząc na korek, o który, jakby był mocno we dno rzeki wbity, woda rozbija się z szumem.  
Ooo! Urlop rzecz doskonała! Tylko niełatwa.  
Wszystko co dobre, trudne jest.  
— A! Mam cię! — wrzasnął nagle z radością wprost dziką.  
Ale to było złudzenie.  
Ileż to razy choćby dzisiejszego dnia.  
Urlop, rzecz wyborna, ale co dzień, to pechowazy<sup>12</sup> wielce.  
Pan komisarz począł myśleć.  
Myśleć bowiem wiele można przy takim ryb łowieniu.  
Ale o czym.  
O awansie nie potrzeba. Właśnie zaawansował... i to... ach pewnie po raz ostatni w tym życiu.  
A w życiu przyszłym?  
Et! Pan komisarz był wolnomyślicielem, przeto...  
Wolnomyślność rzecz doskonała. Rzecz jasna.  
Dobrze jest tedy myśleć wolno i jasno.  
A jak się trawi przy tym, niam, niam!  
A propos. Pono jest jakiś szczep NIAM, NIAM, gdzieś w Ameryce. Prawda?  
Ale co to ma do trawienia?  
Chyba, że to są ludożercy.  
Pfuj! Na co człowiek schodzi, myśląc...  
Korek zapchał się gdzieś we wiklinę, pan komisarz tego nawet nie spostrzegł.  
Szum rzeki porywał go w jakieś fantazje, mieszał tok myśli, rzucał nią jak kawałkiem drewna.  
Pan komisarz myślał to wolno, to prędzej, ale nic się nie kleiło.  
Zatracał się w tej mieszaninie, tonął w tym szumie, z którego coś jakby czasem wypływało, coś dziwnego, nieswojskiego, nie wolnomyślnego... a on nawet nie dziwił się... nie bronił.  
Na powierzchni tej zjawiało się raz po raz jedno tylko jasne pojęcie: Urlop... urlop...  
Ale i to zjawiało się coraz rzadziej i rzadziej.  
Wreszcie zanikło. Pan komisarz przestał być komisarzem... niemal utracił rangę... rzeka go pochłaniała... degradowała do rangi zwyczajnego człowieka... nie, jeszcze niżej... do poziomu poety...  
Pan komisarz marzył na jawie.  
W takich chwilach wszystko jest możliwe.  
Toteż rzeka zaczęła do niego mówić, a on do rzeki.  
— Ach! Nikt mnie nie rozumie... nikt mnie nie rozumie!

<sup>12</sup>pechowazy — dziś popr.: pechowcy. [przypis edytorski]



Tak mówiła rzeka.  
 Zdumiał się.  
 — Jak to niby? — spytał.  
 — Nikt nie wie, co to ja jestem... ja WODA.  
 — Ty... ty... ty jesteś oczywiście... no, w tobie są ryby i koniec.  
 Rzekł i jakby zdziwił się znowu, że przemawia do wody jak do żywej istoty. Ale zdziwienie nie było wielkie.  
 — Nieprawda, nieprawda! — odparła woda. — Mówisz tak, jak cię nauczył urlop... jak cię nauczył rozum zmętniały nad aktami wyzierający w lecie na świat boży...  
 To wszystko nieprawda! Tak mówiła woda.  
 — A jakże mam mówić inaczej? — spytał.  
 — A wiesz, kto tego rozumu nauczył ludzi twej sfery, skąd wzięły go wszelkie urlopy od początku świata udzielane urzędnikom wszelkich ras i wieków?  
 — Nie wiem! — westchnął z pokorą, iście nie siódmej rangi.  
 — Nauczył ich tego mój brat CHLEB!  
 — Aaa! Wiem. Do tego nie trzeba wielkiej filozofii!  
 — Tak? A mnie się zdaje, że dużo większej jak twoja.  
 — Phi! No na przykład!  
 — CHLEB jest to wszystko, co mówi: „Stój! Milcz! Giń!”.  
 WODA to wszystko, co mówi: „Idź! Drż! Płacz! Czyn!”.  
 Czyś kiedy nad tym pomyślał... ty niewolniku mego brata... ty...  
 Nikt tak od czasów Amenhotepa Czwartego nie przemawiał do urzędnika siódmej rangi na urlopie.  
 Komisarz oprzytomniał. Wstał.  
 W pierwszym zapędzie chciał się rzucić na bezczelnika, ale wstrzymał się, uczyniwszy krok jeden. Splunął pogardliwie na ziemię i zaczął zabierać się do domu. Mieszkał sielsko, anielsko w karczmie pobliskiej, gdzie Jasiak pijał wódkę i insze trunki.  
 Ale haczyk zaplątał się we wiklinę, sznurek mokry zaguził się niemożliwie.  
 Chcąc go wydobyć, musiał się położyć na brzegu i manipulować wychylony ponad wodę.  
 Dotykał jej niemal twarzą.  
 Męczył się, potniał. Czuł zawrót głowy.  
 — Tak! — powiedziała, musnąwszy go falą. — Teraz ci jeszcze coś powiem.  
 I zaczęła szumieć w ten sposób, że uczepiony rękami do sznurka znieruchomiał.  
 Uległ ponownie hipnozie ruchu jednostajnego, bezlitosnego...  
 — Ja i on jesteśmy jednej krwi. I tęsknimy za sobą, jak brat za siostrą, siostra za bratem. Cóż dziwnego... Żyjemy ciągle razem, a ciągle daleko... On mówi ciągle: „Stój! Milcz! Giń!”. I niewolnicy jego stoją... stoją w miejscu, jak zakłęci i milczą, i giną... A moi idą, mijają, przepadają gdzieś w dali śmierci i... zostają żywi na wieki... I nie wiedzą, że zostali. A tamci nie wiedzą, że zginęli.  
 Rozumiesz?  
 Nie odpowiadał.  
 — A ludzie... którym ustały kontrasty CHLEBA i WODY... ludzie tacy, którzy żywią się swym ruchem... swą falą... swoim przeznaczeniem... ludzie wolni, sprzymierzeni z WODĄ i sprzymierzeni z CHLEBEM... ach, tacy ludzie... Ale czy ty mnie rozumiesz?  
 Nie odpowiadał.  
 — Chłop... o nie! Ty... wy... nigdy, nigdy!  
 Mówiła teraz chyba do siebie, chyba do brata, chyba do wiatru czy chmur nim pędzonych, krewnych sobie na niebie. Szumiała ciszej, jakby... sobie samej.  
 A spod fali zaczęło coś śpiewać: Oooooj rzeko, rzeko, rzeko... Wzięłaś mnie daleko...  
 — Cicho bądź! — powiedziała temu niewidzialnemu. I znowu szemrała do siebie: — I któż rzuci CHLEB do WODY!... komu chleb wodą się stanie... kto dokona przemiany... największej z przemian ziemi?  
 — Oooooj! Wodo, wodo, wodo... Zabrałaś mnie młooodo! — zajętkło<sup>13</sup> śpiewem.  
 Rzuciła się niecierpliwie i odrzekła:

Woda, Chleb, Urzędnik

<sup>13</sup>zajętkło — dziś popr.: zajęczalo. [przypis edytorski]

— Nie zabrałam cię dziecko... Leżysz niedalecko!  
— Pod progiem leżę chaty... Nie widzą mnie braty! — wypominał głos żałośliwy.  
— No... cichaj chwilkę jeszcze... Zaraz cię popieszczę... — uspokajała go.  
— Eeeej! Trzeba było trzeba.  
W służbie pana CHLEBA... — narzekało coś.  
— Spróbować chciałeś przecie tęsknoty na świecie...  
Gdyś widział, że nurt toczy błyskały ci oczy.  
— Eeej zażyłaś sposobu... Ściągnęłaś do grobu... — odrzekł głos niecierpliwie.  
Na skrzypcach zagrać chciałeś co we mnie słyszałeś — tłumaczyła woda. Zamyśliła się, ucichła. Czyż chciała ściągać do grobu?  
Ale wspomniawszy sobie swoje przykazanie, rzekła:  
— Co ujrzę, jaką duszę, każdą wołać muszę...  
A chcąc pocieszyć biedne, umarłe dziecko, co nie miało sił iść w dał, powiedziała jeszcze pieszczotliwie:  
— Wzruszona żalami twemi  
Daję ojcom ziemi...  
Za każdy jęk malutki  
Przyrzucę im grudki...  
Będą szerzej orali,  
Ciebie wspominali...

Dziecko ucichło.  
Woda osmutniała<sup>14</sup> sama od dawanego pocieszenia.  
Tak bywa... oj tak bywa! I znowu spytał malec:  
— A czy wiedzą ojcowie  
Żeś ty ze mną w znowie?  
A czy wie grunt i chata,  
Za co ta zapłata?

I nagle zawiedło<sup>15</sup> krzyk głośny, tętniący daleko:  
— Kochani!... Czy wy wicie,  
Że to moje życie!...

\*

— Jesteś dziś rozmarzony? Co? — pytała WODA.  
— Jak zawsze... jak zawsze! — wtrącił CHLEB i zaśmiał się.  
Młody, osiemnastoletni student leżał na skrawku trawy nad wodą. Nad nim kołysała się wiecha pszenicy.  
Nie mówił nic.  
Zapatrzony w to, co wszyscy zwą „rzeczami nieistniejącymi”, milczał.  
A tymczasem te rzeczy wywoływały w nim ustawiczny, gorący, niemy krzyk:  
— Cuda! Cuda! Cuda!  
To nie świat mu się tak podobał.  
— Cóż świat? Phii! To zachwycanie się... a dźbełkiem... a trawką... a mrówką... ha, ha, ha... My jesteśmy dzieci wieku, dzieci wieku. Zresztą to jest tam w książce, w literaturze... pełno tego. Teraz zaś moścudzieju: są wakacje! Rozumiesz pan? Ha? — A w środku wrzeszczało ciągle, a ciągle:  
— Cuda! Cuda! Cuda!  
Takie już głupie wrzeszczenie.  
A tymczasem CHLEB zapytał przymilnie:  
— Trza by na podwieczorek! Nie głodno osobie?  
— Ha!... A co komu do tego! — krzyknął ze złością. — Zresztą... — dodał całkiem łagodnie i jakby tłumacząc się — Zresztą wcale mi się nie chce iść.

<sup>14</sup>osmutnieć — zasmucić się. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>zawiedło (gw.) — zawiodło; od: zawodzić. [przypis edytorski]

— Aha! — rzekł CHLEB — Przepraszam, nie wiedziałem, że kolega nie ma w domu podwieczorku...

— Mam! Do kroćset tysięcy! Mam! Nie jestem proletariusz. Kto to powiedział?

Usiadł. Rozejrzał się dokoła, ale nie było nikogo.

— Facecje<sup>16</sup>! — rzekł do siebie. — Ktoś do mnie gada ciągle... a tu nic!

— Prawda? Nie ma nikogo! — rzekł znów CHLEB.

— Jestem do tego przyzwyczajony! — odparł z powagą i naciskiem i położył się znowu.

— Przyzwyczajony? No proszę — rzekł CHLEB.

— Tak. Idzie tylko o to, by nikt nie słyszał. Nasz bowiem wiek jest trzeźwy i jasny... i tak dalej... proszę popatrzeć do jakiego dzieła.

— A więc — nastawał CHLEB — pozwolę sobie zaprezentować się. Jestem CHLEB, król świata trzeźwego i jasnego, a przeto król tu niżej leżącego osobnika, którym pan jesteś.

— Dobrze kromko, dobrze. A ja jestem... Ja!

— To genialne. Ale to słyszałem tysiące razy. Tak mówi nawet ten, który nie jest wcale: Ja!

— Dobrze. Czerstwiej pan dalej, panie CHLEBIE.

— Słyszysz no siostrę? — rzekł CHLEB do WODY — Jakoś mu nie imponują.

— Może z niego coś być! — odparła woda.

— Może być! — powiedział student. — Kolega Fajferek zawsze mówi: „Był czas, kiedy i mój papa był człowiekiem”.

— Pan jesteś niezmiernie, ale to niezmiernie inteligentny! — odciął się CHLEB.

— Być może! Teraz każdy cham jest inteligentny, nawet CHLEB, w postaci zdeptanej przez świnię pszenicy, sterczący nad kałużą.

— Czyli że pan jesteś cham!

— Mniejszy niż pan! Zapewniam!

— Ależ to jest kłótnia?

— Nie! To są nudy i brednie!

— Poddawali się i tacy! — krzyknął mu nad uchem.

— Tak jest, ale drwili przy tym.

CHLEB umilkł.

A WODA powiedziała:

— Tak! Tak! Potęga jego leży w czci. Ona robi niewolników. Buntownik nie jest niewolnikiem, jest tylko jeńcem.

Student rzekł WODZIE:

— Ty jesteś jego wrogiem!

— Nie. Ja jestem jego siostrą... Kocham go.

— Jakże to?

— A on ciebie kocha... Kocha cię.

— Nie rozumiem.

— Tylko trzeba umieć jeść CHLEB.

— Nie rozumiem.

— Wiesz, trzeba przemienić CHLEB w Chleb żywota...

— Bywasz czasem w kościele?

— Nie, bo ja tego nie rozumiem...

— A rozumiesz, czemu w tobie woła: Cuda! Cuda! Cuda!

— I to wiesz?

Wiem. Największe rzeczy są NIEPOZNAWALNE.

— *Circulus vitiosus*<sup>17</sup>.

— Tak to nazywają ludzie.

— Naturalnie. Bo skądże wiedzieć mogę, czy są największe, skoro są niepoznawalne.

— Na to nie ma odpowiedzi, bo mnie nie idzie o twój rozum, ja nie będę cię pytała przy maturze.

<sup>16</sup>facecja (daw.) — żart, wymysł, kaprys. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*circulus vitiosus* — błędne koło; rodzaj błędu logicznego w rozumowaniu. [przypis edytorski]



- Oczywiście. I co dalej.
- Rzuć CHLEB do WODY.
- Aaa!

— CHLEB mówi: „Stój! Milcz! Giń!”. WODA mówi: „Idź! Drż! Płacz! Czyń!”. Czyś kiedy nad tym pomyślał? On i ja jesteśmy jednej krwi. I tęsknimy za sobą jak brat za siostrą, siostra za bratem! Cóż dziwnego. Żyjemy ciągle razem, a ciągle daleko! Dzielą nas ludzie! W duszach ludzkich zmieścić się nie możemy razem. On mówi ciągle: „Stój! Milcz! Giń!” i niewolnicy jego stoją w miejscu, jak zakłęci, milczą i giną. A moi idą, mijają, przepadają gdzieś w dali smutnej śmierci i... zostają żywi na wieki... Nie wiedzą, że zostali. A tamci nie wiedzą, że już ich nie ma. Rzuć przeto CHLEB do WODY! Żyw się swoim ruchem i swoją falą... śpiesz się... śpiesz! Już czas, najwyższy czas dokonać tej WIELKIEJ PRZEMIANY, największej z przemian ziemi.

Chleb, Woda, Kondycja  
ludzka, Przemiana

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/mirandola-tropy-chleb-i-woda>

Tekst opracowany na podstawie: Franciszek Mirandola, Tropy, Nakładem czasopisma „Maski”, Skład główny w księgarni I. Czerneckiego w Krakowie, Kraków 1919

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Patrick Hoesly@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.